

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie K 24·70, Mk 16·12. Półrocznie K 49·40, Mk 32·24. Rocznie K 98·80, Mk 64·48. W Austryi: Kwartalnie K 24·70. Półrocznie K 49·40. Rocznie K 98·80. W Niemczech: Kwartalnie Mk 16·12. Półrocznie Mk 32·24. Rocznie Mk 64·48 z przesyłką pocztową.

Zmiana adresu 60 halerzy.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 1 kor., na miejscu specyalnie zastrzeżonem kor. 1·40, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 2 kor., za wiersz petitowy w części reklamowej 5 kor.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Wincenty Korolewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 31.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: **Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. Łódź, Piotrkowska 62.**

Numer pojedynczy 2 kor. — 1 Mk. 30 pf.

Rok XVI. **Kraków, 26 lipca 1919.** **Nr. 30**

W Grunwaldzką rocznicę.



Przemówienie prof. Straszewskiego pod pomnikiem Grunwaldzkim.

Od Administracyi.

Z powodu strejku drukarzy i ponownego podrożenia papieru oraz wszelkich materyałów drukarsko-technicznych jesteśmy zmuszeni podnieść prenumeratę naszego pisma; nie liczymy tu na wyrównanie kosztów, ale chcąc umożliwić dalszą egzystencyę jedynego w Galicyi pisma illustrowanego, staramy się pokonać możliwe trudności. Licząc na wyrozumiałość P. T. Czytelników, wobec ciężkiego położenia obecnej polskiej prasy, ufamy, że nie odmówią nam dalszego poparcia.

Prenumeratę przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., ulica Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95** (dom własny).

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie	K 98 80	Mk 64 48
Półrocznie	„ 49·40	„ 32·24
Kwartalnie	„ 24 70	„ 16 12
Pojedynczy egzemplarz	„ 2·—	„ 1 30

W Grunwaldzką rocznicę.

Choć zabory rzucały na każdą naszą myśl snop cieni, chcąc wszystko zgnieść, co było utworzone na gorącem uczuciu i co mogło stać się zarzewiem niechęci względem obcej władzy, to jednak w duszy płonął żywy ogień, który nie pozwalał zapomnieć o tem, co rysowało się złotemi zgłoskami na najchlubniejszych kartach naszej historyi. A Grunwald? ten pamiętny bój, który głośno wołał, że naszem zadaniem na przyszłość jest wskrzesić tych żelaznych bohaterów i murem postawić przeciwko wrogowi, czy mógł zagasnąć w sercach? Nigdy o gwiazdach przewodzących w życiu nie zapomina się, o duchach snujących się na polach Tannenbergu nie wolno było zapomnieć. Ale wszystko pokrywała zasłona obcych bagnetów; kazano milczeć, bo mówić znaczyło podnieść się do walki, podnieść bunt.

Dziś czujemy inaczej. Bo też ten dawny dzień tryumfu nie jest tylko wspomnieniem, ale rzeczywistością, odnawiającą się dla Krzyżaków w strasznej rzeczywistości. Może zwycięstwo wczorajszego dnia nie było Grunwaldem, może i koalicya przekreśla lekkomyślnie jego znaczenie tak, jak myśmy bezkrytycznie nie wykorzystali naszego zwycięstwa i oby to równie okrutnie nie pomściło się na dzisiejszych zwycięzcach, jak kiedyś na nas — ale smucić się nie wolno, musi się podnieść olbrzymi okrzyk, że pola grunwaldzkie powtórzyły się znowu. O przyszłości choć w ten jeden dzień nie myślmy.

Tem się tłumaczy, że te przedkilkudniowe uroczystości nie inną przybrały formę. Kraków, prastara stolica, ustroił się odświętnie. Na wszystkich twarzach malowała się radość. Już wcześnie zgromadziły się tłumy pod Wawelem, gdzie odbyła się Msza polowa. W czasie podniesienia wojsko prezentowało broń, a baterya ustawiona na stoku Wawelu oddała salwy armatnie. Po odczytaniu ostatniej ewangelii orkiestra odegrała hymn narodowy. Tymczasem pod pomnikiem grunwaldzkim już długo przed naznaczoną godziną panował ożywiony ruch. Gdy stanął pochód pierwszy przemówił prof. Straszewski imieniem miasta, poczem poseł Tetmajer odczytał manifest do wojska i wodzów, a wreszcie zwracając się do generałów francuskich wspomniał o wspólności doli i niedoli narodu polskiego z Francyą. Zwycięstwa Francyi cieszyły nas, jak nasze, klęski były naszemi klęskami. Tak było po słynnej klęsce pod Berezyną, po Sedanie. Dzisiaj poraz trzeci doszło do skutku to braterstwo broni z Francyą, a wyrazem tego była opieka, jaką polskiego żołnierza otoczył marszałek Foch. Burzliwymi okrzykami przywitano generała Hallera, który oparłszy nogę na powalonym Krzyżaku wzywał do wspólnej pracy dla Ojczyzny. Stojąc tu z wojskiem możemy ślubować, że nie damy sobie wytrącić z ręki oręża, że zwalczymy wszelkie waśnie i niezgody, pamiętając, że jesteśmy Polakami. Powiedział kiedyś wielki poeta, że Polska to jest wielka rzecz, ta wielka rzecz staje się dziś rzeczywistością, tylko trzeba nam gorąco umiłować ojczystą sprawę. — Muzyka zagrała: „Jeszcze Polska".

Poczem szeroką falą popłynęła pieśń przysięgi: „Nie rzucim ziemi..."



Dzień polski w Paryżu: Kolekta na Polski Czerwony Krzyż w ogrodzie księżnej Dondeauville.

Dzień polski w Paryżu.

Przyjaźń Francyi dla Polski połączyła oba narody wspólnym węzłem, który żadne wypadki nie mogą rozerwać. Nie dziw zresztą, Francya, na której ziemi tylu naszych rodaków przepędziło życie, poznała nas najlepiej, a będąc zawsze czystą w swoich czynach, nie chciała i nie chce pozwolić na krzywdę Polsce wyrządzonej. Dowodów sympatyi otrzymujemy z każdym dniem więcej. W ubiegłym miesiącu odbył się w Paryżu dzień polski połączony z przedstawieniem u księżnej Dondeauville, na którem był obecny prez. Paderewski z żoną. Węzły zacieśniają się coraz bardziej, a wspólna pomoc idąca po jednej linii, ułatwia nam drogę na przyszłość.



Placówka zdobyta na Czechach: O. Jacek Misiak.



Dzień polski w Paryżu: Przedstawienie w pałacu księżnej Dondeauville na rzecz dnia polskiego. 1) Poincaré, 2) Paderewski, 3) pani Paderewska.

Nasza ofenzywa w Galicyi wschodniej.

Po długich miesiącach męczeńskiej doli wreszcie cała Galicya staje się państwowo ziemią polską, po miesiącach ciężkich walk i ciężkich zmagań, które pozostaną dla naszej historyi smutną i krwawą przeszłością, a z drugiej strony ciężkim dokumentem ukraińskiej kultury, niedorastającej nawet do



Minister wojny gen. Leśniewski odbiera raport od oficera francuskiego.



Vive la France: U stóp pomnika. 1) Ambasador Pralon, 2 gen. Henrys, 3) gen. Sosnkowski.

stopnia najbardziej prymitywnego pojęcia. Fakta powoli się gromadzą i mają w niedalekiej przyszłości stanowić materyał do rozstrzygnięcia spornej kwestyi na wschodzie. Dziś jednak o tem musi się chwilowo nie myśleć, ale należy cieszyć, że wreszcie stajemy na linii Zbrucza, dzięki waleczności i zdrowemu duchowi naszego wojska, które tyle trudów położyło, aby znękanej Galicyi wschodniej dać wolność. Szybkie tempo ofenzywy świadczy dowodnie o zrozumieniu ważności sprawy i dobrem przeświadczeniu, że ta ziemia, którą się obecnie broni, stanowi bezwarunkowo dla naszego intenzywnego życia wielkiej wagi placówką, której za żadną cenę oddać nie możemy i niewolno nam. Zresztą decyzya już się szybko zbliża, oczekujemy ją z jasnem i spokojnem czołem nie wątpiąc ani na chwilę w jej pomyślność dla nas. Zapewne będzie miała w tem i swój interes koalicya, jeżeli nie chce, abyśmy praw swoich nie byli zmuszeni bronić rozpaczą. O Kołczaku i stworzeniu wielkiej Rosyi musi się tutaj zapomnieć raz na zawsze, bo Galicya wschodnia nie była i nie będzie nigdy rosyjską, a na to najlepiej odpowie nasz żołnierz, który tam stoi i który z pewnością nie ugnie się nawet przed rozkazem obcym, którego nie zna także generał Iwaszkiewicz, znający tylko jeden nakaz: prawo.

Obecnie snuje się ważna i odpowiedzialna dla nas troska. Żołnierz polski uwalniając Galicyę szedł po gruzach i ruinach, pozostawionych przez Ukraińców, witany wśród łez i rozpaczy, to też musimy wytężyć wszystkie siły, aby tej naszej drogiej placówce dać życie, o czem nam zapominać nie wolno.

Wypadki idą szybko naprzód, niedawno słyszeliśmy o wrogu p d Brzeżanami, dziś mówimy o skończeniu ofenzywy, aby tak szybko przemyślano słuszność naszych żądań. Wiemy, że będziemy musieli pokonać jeszcze wiele trudności zanim dojdziemy do kresu, wiemy, że nie będzie tu wcale grała choćby najmniejszą rolę sprawiedliwość, ale patrzymy z otuchą w przyszłość: jeżeli ziemi nam nie oddadzą, my ją sami zatrzymamy, bo tego, co się zdobyło męczeństwem oddać jest grzechem.



Operetka krakowska: Jadwiga Brzozowska, znakomita primadonna operetkowa.



Stanisławowska ochotnicza legia kobieca.

Stanisławowska ochotnicza legia kobieca.

Bohaterska obrona Lwowa kazała iść w bój i kobiecie polskiej, o czem dziś już mówi się bez żadnego zdziwienia, ale jako o rzeczy najzwyczaj-



Warszawska drużyna „Korona".



Ze sportu: Moment z zapasów.

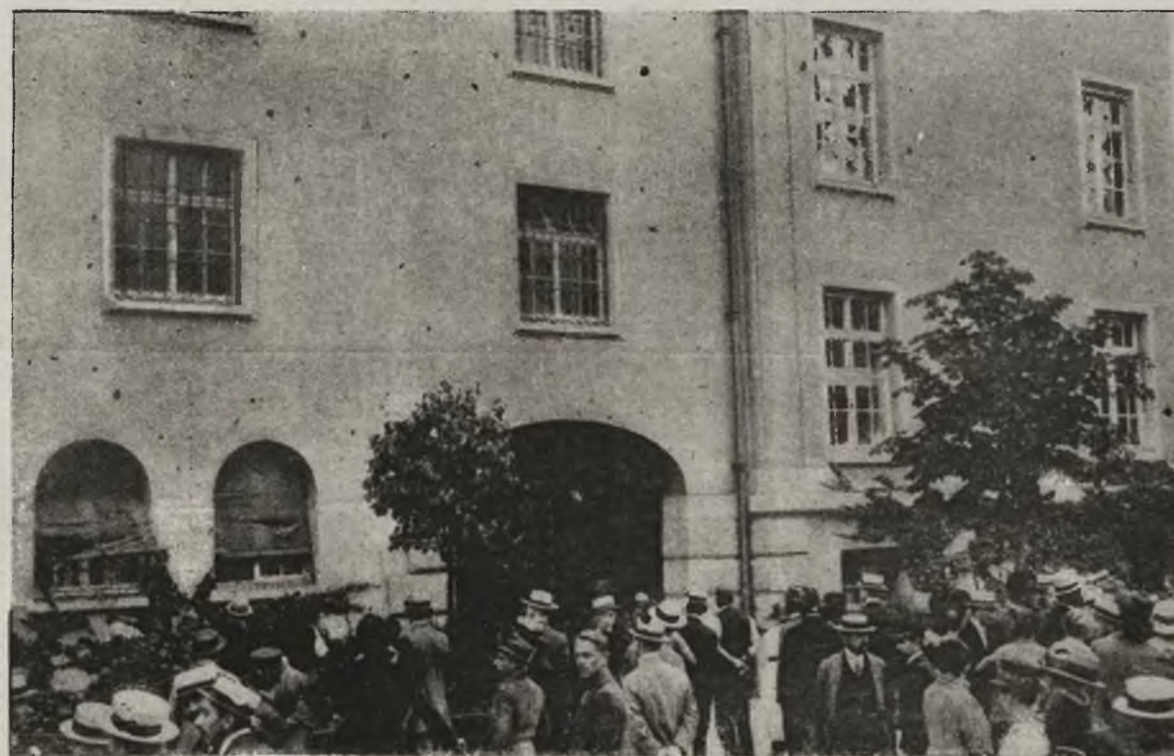
niejszej. Obecnie, kiedy wojska nasze postępowały naprzód w zwycięskiej ofenzywie, kobiece legie pełniły służby wartownicze, zwalniając w ten sposób siły zdolne do służby frontowej. O duchu tej formacyi kobiecej mówić nie trzeba, dość dodać, że budowała go początkowo rozpacz, a potem gorąca chęć obrony naszej słusznej sprawy. Otrzymaliśmy zdjęcie ze Stanisławowa, które w obecnym numerze zamieszczamy.

Krwawe zaburzenia w Zurychu.

Dnia 13-go czerwca b. r. przyszło w Zurychu do krwawych zaburzeń przed budynkiem sądu okręgowego. Tłum uzbrojony w broń i granaty wdarł się do wnętrza budynku i zdemolował go.



Jedno z wielu rozbitych okien w budynku sądowym.



Po rozruchach: Tłum ogląda ciężko uszkodzony budynek sądowy.

Operetka krakowska.

Druga nasza scena daje ciągle dowody żywotności artystycznej, wzbogacaniem różnorodnego programu i pozyskiwaniem najwybitniejszych sił naszych. Przed kilkoma dniami zawarła Dyrekcya Teatru Powszechnego stałą umowę ze znaną nam już artystką operetkową p. Jadwigą Brzozowską, która występami swoimi, jako: Piękna Helena, Róża Stambułu, Lalka i inne, olśniewała zawsze tłumne audytoryum. P. Jadwiga Brzozowska podczas swej gościny w ubiegłym sezonie dała dowód, że jest zarówno znakomitą śpiewaczką, jak i doskonałą artystką sceniczną, łączącą powab zewnętrznych warunków z wielką finezyą interpretacyi.

Przez pozyskanie znakomitej primadonny energiczna dyrekcya naszej operetki zapełniła szczęśliwie lukę w personalu teatru Powszechnego, umożliwiając tem na przyszły sezon wystawianie klasycznego repertuaru operetkowego.

Konferencye polsko-czeskie w Krakowie.

W poniedziałek rozpoczęły się w salach magistratu krakowskiego rokowania czesko polskie w sprawie Śląska cieszyńskiego. Od rokowań w Krakowie zawisło bardzo wiele. Błędy, popełnione od 28 go października można naprawić, albo je o jeden jeszcze błąd powiększyć. Jest możliwem, że w Krakowie będzie położona platforma dla wspólnego pożycia, albo to pożycie będzie uniemożliwione. Czesi muszą zrozumieć psychikę naszego narodu, który spotkał się z oporem tam, gdzie się go najmniej miał prawo spodziewać. Wierzymy jednak, że w tym starym grodzie naszym stanie czesko polski kompromis, zapewniający obu narodom spokój obopólny i rozwój narodowy, tak ciężkiemi okupiony ofiarami.



Konferencye polsko-czeskie w Krakowie: Od lewej ku prawej siedzą: dr Pelz, Udržal, przewodniczący delegacyi czeskiej, poseł Grabski, przewodniczący delegacyi polskiej, poseł Daszyński, poseł Bardel, Czapliński, dr. Matousz, poseł Osiecki, dr Adam i wiceminister skarbu Byrka.

Weatherley Chesney.

SZTYLET.

(Z angielskiego tłumaczył H.).

10

Ponieważ na seryo nie myślałem go częstować, zamknąłem pudełko i umieściwszy w szafce przekręciłem klucz. Tym razem chyba zrozumiał moje intencye.

– W takim hotelu to trzeba bardzo uważać! – mówił mój gość, który pilnie obserwował moje poruszenia.

– Nie można być dosyć ostrożnym – przyznałem – może się zaraz ktoś znaleźć, kto wykorzysta okazyę.

Wcale nie wziął tego do siebie, to też nic mi na to nie odpowiedział, ale zauważył:

– Pan jeszcze nie wie z kim pan rozmawia, panie kapitanie. Finnecure Vandeleur! Ukłoniłem się.

– Finnecure Valdeleur! – powtórzył.

– Tak pan powiedział.

– I jeszcze raz powtarzam, mój panie. Istnieje tylko jeden jedyny Finnecure Vandeleur.

– Bogu dzięki! – pomyślałem.

– W jakiej roli pan mnie widział, kapitanie?

– Niestety, nie mogę sobie przypomnieć, abym pana kiedy widział, panie Vandeleur – odpowiedziałem. – Może pan jednak będzie łaskaw objaśnić mnie, jakie powody skłoniły go do złożenia mi wizyty?

– Pan nie widział jeszcze Finnecure Vandeleura – skarżył się. – Ależ pan się chyba myli! Pan przecież chyba zna rolę „Fontiboya“ z „Zaginiony na pustyni Sahary“ albo „Desmanda w...

– Łaskawy panie – przerwałem mu dosyć ostro – czy mi pan wreszcie zechce powiedzieć poco pan do mnie przyszedł, czy też nie. Pana zawodowa praca może być bardzo wartościowa, ale ja nie mam czasu w obecnej chwili tem się zajmować.

Mr. Vaodeleur westchnął.

– Gdyby te cygara nie były tak dobre, to opuściłbym pana natychmiast, panie kapitanie Brett, ale pan się dowie, co mam panu powiedzieć. Pan zajmuje się przecież morderstwem przy Audley Street?

– Tak, istotnie – odpowiedziałem.

– Mniemam, że pan kapitan wiele mógłby się odemnie dowiedzieć. Owa Lady Florence Moslyn miała mianowie ten zaszczyt, że przez czternaście dni z rzędu grała ze mną główne role w tej sztuce, którą pan przed chwilą tak zlekceważył. Ja grałem „Desmonda“, zaś ona „Maud“ w „Kier adutem“. Niech mi pan wierzy, że graliśmy przy przepełnionej widowni.

– Czy pan jest zupełnie pewny tego, Mr. Vandeleur? – zapytałem, gdyż rzecz ta wydawała mi się bardzo wątpliwą.

– Zupełnie pewny, panie kapitanie. Jeśli Finnecure Vandeleur coś twierdzi, to musi to być tak pewnem, jak ewangelia.

– Prawdopodobnie więc owa dama miała swoje nazwisko sceniczne?

– Owszem, nazywała się Mary Western. O właściwem jej nazwisku dowiedziałem się dopiero teraz, kiedy zobaczyłem jej fotografię, których pełno jest obecnie wszędzie.

– Czy się pan jednak nie myli. Mr. Vandeleur? Fotografia jest może tylko podobna do Lady Florence, a owa Miss, jak to ją pan nazwał, Miss Western, jest zupełnie kim innym?

– Nie przypuszczam, gdyż i czas zgadza się w zupełności. W rok po ogłoszeniu o zniknięciu córki księcia de Lundy wstąpiła do naszego teatru. Znać było wtedy po niej, że przeszła bardzo ciężkie czasy. Główną jednak rzeczą jest jej podobizna. Nie chcę się nazywać Finnecure Vandeleur, jeśli to nie jest właśnie ona. Taką samą suknię miała, gdy była u nas, słowem, to ona. Nawet ślepyby ją poznał. Nie pierwszy ja ją poznałem. Bill Haynes, zapewne pan zna go, naszego klowna, panie kapitanie? Nie? Co pan powiada! A więc Bill Haynes pierwszy zwrócił na to moją uwagę, a także inni koledzy z naszego eawnego teatru ją poznali. Niech pan wierzy mojemu słowu, sprawa tak stoi, jak mówię. Temu nie da się zaprzeczyć.

– Wobec tego muszę uwierzyć. Bardzo panu dziekuję za to objaśnienie. Byłbym panu wdzięczny, gdyby mi pan zechciał dokładnie opowiedzieć wszystko, co pan wie o owej Miss Western. Może jeszcze cygaro?

– Nie mówię nie! Doskonałe, panie kapitanie. Coś tak dobrego dawno już nie paliłem. Za to opowiem panu wszystko, co wiem, chociaż szkoda, że pan nie widział mnie w moich popisowych rolach. Na pana miejscu poszedłbym w każdym razie na „Zaginionego na wielkiej pustyni“, niech mi pan wierzy, że pan nie pożałuje. Ale przystąpmy do opowiadania.

– Kiedy Mary Western do nas wstąpiła, graliśmy w jakimś zapadłym szkockim kącie. Nazwy sobie nie przypominam, to jedno wiem, że wszystkim powodziło się bardzo źle. Interes szedł pod psem, dwa funty piętnaście kasa wieczorna, kto nie miał z tem do czynienia, ten nie wie, co to znaczy, panie kapitanie. Winną wszystkiemu była nasza subretka, która ohydnie grała „Paulinę“ w „Narzeczonej lwa“. Szkoci poznali się wnet na tem, że w końcu graliśmy przed pustymi ławkami, szkoci bowiem woleli sami pić, niż pijanych oglądać.

– Tak stały sprawy, hdy u nas zjawiła się Mary Western. Przypominam sobie dokładnie, jak Dick Lambert ją naszemu doktorowi przedstawił. Podobała mu się tak, że ją zaraz zaangażował. Dick zaczął się nią opiekować i to tak energicznie, że Flanneryemu zagroził, że da mu po łbie, jeśli powtórzy wobec Mary swe nieprzystojne propozycye. Za to otrzymał Dick dymisyę i musiał w czternaście dni potem opuścić nas. Jeździł on jednak stale za naszym teatrem i gdzie była Mary Western, tam był także i stary Dick.

– Była to komiczna parka, panie kapitanie, bardzo komiczna. On ją bardzo lubił, a i ona go na swój sposób, ale co było dziwne, żadne nie było zakochane. Ma się rozumieć, mnie to nic nie obchodziło, mogli robić co chcieli. Mary Western wystąpiła najpierw w kilku małych rolach, ale spisała się tak dobrze, że pozwolono jej uczyć się „Pauliny“, aby w razie potrzeby być gotową.

– I miała szczęście. Nie trwało zbyt długo, pewnego wieczora była nasza „Paulina“ tak pijana, że nie można jej było puścić na scenę. Miss Western musiała ją zastąpić i grała wprost wspaniale. Żeby pan był słyszał owacye, panie kapitanie. Myśleliśmy, że dom się zawali. Grała z takim zapałem, że porwała i nas starych, zapomnieliśmy w jakiej spelunce się znajdujemy.

– Tak, jak poszło tego wieczora, dawno już nie było. Może mi pan wierzyć lub nie wierzyć, ale sam sobie się dziwiłem.

– Od tego wieczora karyera jej była zapewniona. Wystąpiła potem jako „Julia“, a wreszcie jako „Maud“ w „Serce adutem“, w czem przewyższyła wszystko.

– To były ostatnie jej występy!

– Miss Western zniknęła!

– Jak następnie dowiedzieliśmy się, dostała list, który napędził jej wielkiego strachu. W każdym razie nagle zniknęła bez śladu a z nią Dick. *Verbum satis sapienti*, jedno słowo dla mądrego wystarczy, panie kapitanie, jak zwykli mówić starożytni. Oto wszystko, co wiem o Miss Western. Gęba mi całkiem wyschła od gadania, panie kapitanie.

Zrozumiałem przymówkę. Obstawiłem też wnet Mr. Vandeleura tak gruntownie, że mógł się czuć zupełnie zadowolonym i postawiłem nowe pytanie:

– A ów człowiek, Dick... jak on to się nazywał?

– Lambert.

– Ów Dick Lambert, czy może mi pan o nim udzielić jakich wiadomości?

– Nic ciekawego. Był wielkim biedakiem. Byłby mógł nawet zrobić karyerę, sposobności miał dosyć, ale robił wrażenie człowieka, który o to wszystko nie dba. Najlepiej kreował jeszcze grabarza w „Hamlecie“, a i to robił wielce niedbale.

– Jak on wyglądał?

– Czerwony i żółty. Oto były jego barwy, chyba, że czasem miał na niebiesko podbite oko. Nazywaliśmy go zawsze „starym czerwonym piaskowcem“. Pozatem był doskonałym znawcą koni i opowiadał, że ongiś umiał doskonale po grecku i łacinie. Na takiego mędrca jednak nie wyglądał. Widocznie przed laty żył bardzo wesoło, w Kalifornii próbował szczęścia w różnych kierunkach i tam w walce stracił rękę.

– Pan przypuszcza, że ona zgodziła się na to, aby on ją uprowadził?

– Ma się rozumieć, cóż innego. Ładna dziewczyna, nie brzydki mężczyzna, wielcy przyjaciele; piękne dziewczę zniknęło, mężczyzna także. Resztę może sobie każdy sam dośpiewać. *Verbum satis sapienti*, panie kapitanie, pan wie przecież.

– Czy pan nigdy nic o nich nie słyszał?

– Dicka widziano nawet dosyć często, przypuszczam, że dałoby się go wnet odnaleźć, ale Miss Western zupełnie zniknęła z widnokręgu, aż dopiero kiedy zobaczyliśmy jej fotografię. Zdaje się, że miała ona licznych wielbicieli. Zaraz potem, kiedy nas opuściła, pojawił się jakiś mężczyzna, który dowiadywał się o nią, kiedy usłyszał, że zniknęła z Dickiem, zrobił gębę, jakby dziesięć dni słonych. Przypuszczam, że ten tydzień był feralnym dla młodej pary.

– Jak ten obcy wyglądał?

– Tego nie pamiętam już, a raczej, nie widziałem go. Zabawił zaledwie kilka godzin, w każdym razie aż za dosyć dla tych, którzy z nim mieli owego dnia do czynienia. Nie był z niego dobry towarzysz, panie kapitanie.

– Czy ma mi pan jeszcze co do opowiedzenia Mr. Vandeleur?

– O Miss Western i jej jednoręcznym wielbicielu nic więcej. Pozwolę sobie tylko zauważyć, że mój benefis odbędzie się w przyszłym tygodniu. Wtedy będzie pan miał sposobność podziwiać Finnecure Vandeleusa w jego najlepszej roli. W przyszłym tygodniu gramy w Islnington „Zaginiony na wielkiej pustyni Sahary“, ufam, że spotkam pana w piątek na przedstawieniu.

– Bądź pan spokojny, że przyjdę, Mr. Vandeleur. Skorzystam ze sposobności, aby się zrewanżować wobec pana za udzielone informacye. Czy może ma pan bilety przy sobie?

– Panie kapitanie, widzę, że z pana bardzo praktyczny człowiek. Proszę, oto są. Może loża? Kosztuje gwineę. Dziękuję. A więc w piątek za osiem dni. Dziękuję, dziękuję, biorę jeszcze jedno cygaro, jeśli pan już tak uprzejmy. Swietny tytoń. O, z pana to znawca pod tym względem.

Wśród takich komplementów znalazł się wreszcie Mr. Vandeleur za drzwiami.

ROZDZIAŁ X.

Czy Lady Moslyn była złodziejką?

W głowie mieszały mi się najrozmaitsze pomysły, kiedy przebierałem się wieczorem, aby wyjść na miasto. Wczoraj byłem w rozpaczy, że nie mogłem znaleźć klucza do tej zagadki, a dzisiaj miałem tak wiele i bardzo wielostronnych informacyi. Z niemałym trudem trafiłem na ślad Mr. Artura Duranta.

Ku niemałemu zdziwieniu w pokoju Mr. Gatesa odkryłem fotografię owej nieznajomej damy, co dało mi jeszcze wiele do myślenia, wreszcie z ust Mr. Finnecure Vandeleura dowiedziałem się wielu szczegółów z życia Lady Florence.

Rezultat odwiedzin u Mr. Gatesa był wprawdzie jeszcze bardzo nieuchwytny, ale za to aktor dostarczył mi faktów i dat bardzo cennych, ma się rozumieć, o ile one były prawdziwe. Nowy rozdział życia tej nieszczęśliwej kobiety otworzył się przedemną, rozdział o zmiennej i niezbyt zaszczytnej treści. Nie było wprawdzie nic dziwnego w tem, że na scenie szukała dla siebie środków do życia, ale delikatnie mówiąc, wielką niespodzianką był dla mnie fakt, że pozostawała na stopie zażyłości z człowiekiem o tak podejrzanej wartości. Jeśli on ją ze sobą uprowadził, w takim razie kim był ten tajemniczy trzeci, który nagle się zjawił i jakie prawa rościł sobie do niej? A jeśli z tym trzecim uciekła, to co znaczyła jej zażyła znajomość z jednorękim?

Dziwne powikłanie. Im bardziej starałem się rozwiązać tę zagadkę, tem silniej zaciskał się ten gordyjski węzeł. Byłem na wieczór zaproszony do Feutonów. W drodze uprzytomniłem sobie, jaką przykrość sprawi mi powiadomienie Mabel o opowiadaniu Mr. Vandeleura. A przecież nie mogłem inaczej postąpić. Informowałem ją dotychczas stale o każdym mym kroku. Może ona rzuci jakąś trafną uwagę?

Przy stole rozmowa dotyczyła samych banalnych spraw, dopiero potem, kiedy znaleźliśmy się we dwoje, opowiedziałem jej historyę całego popołudnia. Do wyjaśnień Mr. Gatesa nie przykładała zbutniej wagi, bardziej zainteresowała się historyą fotografii. Kiedy powtórzyłem jej zeznania Mr. Vandeleura, wyrwał się jej okrzyk oburzenia. Zaczęła chodzić po pokoju wielkimi krokami.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Uroczystość Tow. strzeleckiego w Krakowie

Dostojne zebranie zgromadziło się w niedzielę dnia 13. bieżącego miesiąca w salach Towarzystwa strzeleckiego w Krakowie, aby uczestniczyć w uroczystości wyboru nowego króla kurkowego. Po przerwie czterech lat wojennych, w ciągu których rządy „na celestacie“ sprawował wybrany jeszcze w 1914 roku, król kurkowy, p. Erazm Biborski, zdecydowało się Towarzystwo „braci kurkowych“ w pierwszym roku istnienia wolnej, niepodległej Polski powrócić do przerwanej tradycyi i urządzić wybór „króla“ na rok bieżący.

Uroczystość tą urządzono w rocznicę Grunwaldu — nadano więc jej charakter narodowy. Na obchód przybyli przedstawiciele armii polskiej w Krakowie, generałowie: Haller i Symon, wraz z generalicyą i sztabem oficerskim, generałowie francuscy, przedstawiciele armii włoskiej, oraz delegacye żołnierzy różnych gatunków broni. Przybyłych gości powitał pieknem przemówiem dr. Nieć, na przemówienie którego serdecznem słowem żołnierskiem odpowiedział gen. Haller.

Imieniem oficerów koalicyjnych przemówił gen. Vonillemin w języku francuskim, poczem orkiestra Hallerczyków zagrała Marsyliankę. Następnie odbyło się strzelanie królewskie. Pierwszy strzał dał gen Haller, poczem strzelali kolejno generałowie i oficerowie sztabu, wreszcie bracia kurkowi. Ostatni odłamek kura celnym strzałem strącił dr. Władysław Nieć, którego komisya obwołała królem. Marszałkami zostali p. Fr. Karpiński, notaryusz i J. Kreczmer, prok. Banku krajowego. Prezydent Federowicz jako przewodniczący Towarzystwa strzeleckiego włożył dr. Nieciowi srebrnego kura na szyję, poczem przy dźwiękach orkiestry odbył się tradycyjny pochód orszaku królewskiego po ogrodzie, zakończony instalacyą króla na przygotowanym tronie.

Po skończonej ceremonii odbyła się uczta królewska. Pierwsze przemówienie wygłosił dr. Nieć, podnosząc wielką datę historyczną Grunwaldu, a zakończył toastem powitalnym na cześć armii polskiej w ręce gen. Hallera i Symona. Przemawiali następnie gen. Haller, gen. Symon i inni. Następni mowcy powitali przedstawicieli Francyi w gorących słowach, kończąc przemówienie okrzykiem „Vive la France“. Odpowiedział gen. francuski Vonillemin. Wzniesiono je zcze toast na cześć Włochów, imie-



Nasza ofensywa w Galicyi wschodniej: Gen. Iwaszkiewicz (X) z gen Jędrzejowskim XX) przy pracy.



W Grunwaldzką rocznicę: Gen. Haller na balkonie



Uroczystość Tow. strzeleckiego w Krakowie: Po wyborze króla kurkowego. 1) Gen. Haller, 2) Gen. Symon, 3) Gen. francuski Vonillemin, 4) Nowo obrany „król kurkowy“ dr. Władysław Nieć.

niem których odpowiedział jeden z przedstawicieli armii włoskiej.

Orkiestra Hallerczyków po każdem przemówieniu intonowała kolejno hymny narodowe poszczególnych państw.

Towarzystwu strzeleckiemu za urządzenie tego pięknego obchodu w rocznicę grunwaldzką, należy się szczere i wdzięczne uznanie.

Vive la France!

W ubiegłym tygodniu bohaterska Francya obchodziła swoje wielkie narodowe święto — święto zburzenia Bastylii, widomego znaku tyranii. Był to tryumf idei politycznej, która przez wiek cały przygotowywała umysły do przewrotu, jaki miał zbawić Francyę i dać początek wolności ludów — z niewolników tyranii zmienić ich w wolnych obywateli.

Razem z Francyą obchodziła obecnie to wielkie święto i Polska, siostrzyca Francyi, już wolna. Uroczystość tą nie godzi się mierzyć tą samą miarą, co zwyczajne akty kurtuazyi międzynarodowej. Nie stać nas było na splendor zewnętrzny, ale w głębi naszych serc radość tętniała żywa, bo ten dzień nam przypominał, jak wielkodusznych pozyskaliśmy przyjaciół. Przyjaźń zaś szlachetnych chlubą jest tym, którzy ją posiedli.

To też w dniu rocznicy zburzenia Bastylii cała Polska rozbrzmiewała okrzykami na cześć Francyi. Święto narodowe Francyi, stało się świętem polskiem i dlatego całą Polskę obiegł płomienny okrzyk: Vive la France!



Vive la France: Święto Francyi we Lwowie. Defilada przed pomnikiem Mickiewicza 1) generalny delegat dr. Gałecki, 2) pułkownik francuski de Renty, 3) gen Gołogórski. (Fot. M. Münz Lwów.)

Placówka zdobyta na Czechach.

Zdradziecki napad Czechów na Polskę miał tę dobrą stronę, że otworzył nam wreszcie oczy — poznaliśmy, ile są warci nasi „pobratymcy". Przystąpiono skutkiem tego do oczyszczania z Czechów rozmaitych instytucyi w Galicyi.

Skorzystał także na tej puryfikacyi, między innymi, krakowski Konwent OO. Bonifratrów, gdzie w ciągu długiego szeregu lat rządzili Czesi po swojemu, tj. z bezwzględnością i dotkliwą krzywdą żywiołu polskiego. Obecnie bowiem godność przeora piastuje pierwszy Polak po latach 60 ciu, O. Jacek Misiak, od którego, mamy nadzieję, wyjdzie inicyatywa wskrzeszenia kwitnącej ongi Prowincyi polsko-litewskiej Zakonu Bonifratrów, tak chlubnie zapisanej w dziejach polskiego miłosierdzia publicznego przez przeciąg trzech stuleci.

O Misiak urodził się 1870 r. w Tarnówce w ziemi kaliskiej. Wstąpił on do Bonifratrów w Krakowie w r. 1898, odbywszy poprzednio ciężką służbę wojskową w Rosyi i to zdala od kraju, bo aż na Kaukazie i w Turkiestanie. Po ukończeniu nowicyatu w Konwencie wiedeńskim został w nim przez lat dziesięć, pełniąc służbę asystenta na oddziele chirurgicznym tamtejszego szpitala oraz w ambulatoryum dentystycznem. Następnie zaś pracował kolejno po szpitalach Konwentów: w Pradze, Zebrzydowicach, Cieszynie, Prościejowie i Bernie, krótki czas był podprzeorem w Krakowie 1898 roku.

Jestto prawdziwy typ polskiego zakonnika — pobożny, pracowity, uczynny, zawsze wesół, pomimo niesłychanie trudnych warunków, w jakich otrzymał spuściznę po czeskiej gospodarce.

Miejmy nadzieję, że bez względu na te trudne warunki, uda się jego gorliwości i energii, opartym o gorący patryotyzm, postawić krakowski Konwent i szpital Bonifratrów na poziomie godnym ich tradycyi przeszło trzechsetletniej działalności w murach podwawelskiego grodu.

W niniejszym numerze zamieszczamy podobiznę nowego przeora O. Jacka Misiaka.



Rewia wojskowa na Błoniach krakowskich: 1) (X) Gen Haller ze sztabem. 2) Kompania szturmowa Hallerczyków. 3) Ciężka artylerya załogi krakowskiej. 4) Oddział spieszony lekkiej artyleryi im. ks. J. Poniatowskiego z Warszawy.

Marya Toczyska Segeny.

BEZ STERU

Powieść.

1

— Proszę panienki, szewc przyniósł buciki panny Izi od naprawy.

Janka Bogucka odwróciła się niechętnie od stołu, przy którym zajęta była malowaniem drewnianych pudełek różnej wielkości i spojrzała przelotnie w stronę drzwi.

— Ah, to ty, „Felciu! Buciki panny Izi? To dobrze. Połóż je w nyży.

— Chce piętnaście koron. Mnie się widzi, że całe buciki tego nie warte.

— Powiedz szewcowi, żeby przyszedł później po pieniądze.

Po szerokiej, zuchwałej twarzy służącej przewinął się pogardliwy uśmiech.

— Po co przyjdzie! — rzuciła, wzruszając ramionami. — Po to, co i teraz? Eh, co tu gadać! Powiedział, że jak zaraz nie dostanie, to zabierze z powrotem. Głupi ta darmo robić! Już i tak należy mu się za panowe buciki.

Wyraz ogromnego niesmaku odbił się w zmęczonych oczach Janki. Powstała od stołu i zbliżyła się do dziewczyny.

— Felka, pomów ty z nim — wyrzekła nie pewnym, cichym głosem. — Wieczorem z lekcyi przyniosę. Buciki potrzebne. Panna Izia ma wyjść popołudniu z panem do miasta.

Coś jakgdyby współczucie przemknęło w małych, szarych oczach Felki, w których czaiła się stale prawie nieprzezwyciężona niechęć do państwa.

— Pomów ty z nim — powtórzyła z prośbą w głosie Janka.

— Ano, to chyba już dla panienki zrobię — odparła służąca dosyć miękko. — Ale pieniądze muszą być na wieczór, bo inaczej wpadnie tu i hałasu narobi.

— Będą, będą!

Janka pozostała sama. Chwilę stała bezradna na środku pokoju, poczem osunęła się ciężko na krzesło przy stole. Stołowy pokój w mieszkaniu państwa Boguckich niczem się nie różnił od setek innych, spotykanych w wązkich, zacieśnionych kamienicach miast, w których powietrze i światło należą do zbytków, oglądanych rzadko.

W tej chwili mdły promień słońca wpadł przez jedyne otwarte okno do pokoju i jakby zdziwiony swoją zuchwałością, nie śmiejąc rozpanoszyć się więcej, lekkiem dotknięciem tylko objął niektóre sprzęty.

Przedzierając się przez wysokie zabudowania szarych kamienic i oficyn stracił wiele ze swojej siły i ciepła i czuł się jakoś nieswojo w tym zaciemnym i ponurym zawsze kącie.

Stare meble, pomiędzy którymi zabłąkał się gdzieniegdzie cieplejszy odcień mahoniu, nawet pod tem jasnem dotknięciem nie mogły się wyzbyć swojego niesympatycznego przypylonego starością wyglądu.

Jedyne okno pokoju, umieszczone pod kątem prostym, wychodziło na mały, wiecznie brudny dziedziniec.

W tej chwili chmara dzieci różnego wieku, korzystając z ciepłego południa, przy akompaniamencie wrzasków, pisków i kłótni, przypuszczała zacięty szturm do paki wypełnionej śmieciem i popiołem.

Obłok szary wypełnił całe podwórze, wciskając się natętnie do otwartych okien. Gdzieś z drugiego piętra rozległo się monotonne, leniwe trzepanie dywanów, przerywane od czasu do czasu hałaśliwym śmiechem i nawoływaniem.

Na wązkich, zarzuconych baliami ganeczkach panował ruch ożywiony. Zasmolone, zadyszane służące wynosiły ostentacyjnie wiosenną garderobę państwa do przewietrzenia. Czasem jakaś nikła, anemiczna postać, ginąca w obszernym szlafroku nie pierwszej świeżości, w przydeptanych pantoflach i ze strączkami papilotów nad czołem, wybiegła kuchennemi drzwiami, przynaglając ostrym dyszkantem zaspane służące.

Był to już koniec kwietnia.

Ale tej wiosny, kwiecącej już rozległe pola i łąki, rozśpiewanej po lasach i zagajnikach, dyszącej rozrodczą siłą i ciepłem, nie znać tu było, w tem podwórku uwięzionem wilgotnymi murami.

Znaczył ją tylko kolorowy kalendarz, zawieszony gdzieś w rogu pokoju, pomiędzy dobrze wybrudzonemi halkami, używanemi co rano do szarych czynności gospodarskich.

Koniec kwietnia!

A więc najwyższy czas do pomyślenia o wiosennej garderobie, zachowanej przed molami w koszach i wydobyciu jej na światło dzienne. Ostra woń kamfory rozpływa się po ganeczkach, z poręczy zwieszają się fale jasnych materyi i lśniących jedwabiów, zwycięsko kołysząc się w powietrzu.

Całe bogactwo wiosenne mieszczańskiego domu wystąpiło, zuchwale urągając łachmanom z suteryn.

Tylko w parterowem mieszkaniu Boguckich nie objawia się niczem ten nastrój świąteczny.

Na prost otwartego okna siedzi teraz w pochylonej postawie Janka. Wokoło niej piętrzy się stos pudełek różnej wielkości, porozrzucane są pendzle i farby.

Uporny promień słoneczny delikatnie musnął jej rękę, drżącą już od przepracowania.

Nerwowym ruchem odrzuciła pudełko i podniosła głowę.

— Wiosna! — uśmiechnęła się do słońca — Już wiosna!

Ciemne oczy zajaśniały żywiej w bladej, przemęczonej twarzy. Spojrzenie chciało wybiedz daleko poza te szare mury, stojące ochronnym wałem przed zbytkiem przestrzeni, lecz powróciło szybko, zabite jakąś tęsknotą i żalem. Natomiast myśl jej, ta jedyna cząstka jej istnienia, nie skrępowana jeszcze, rozkołysała się szeroko i zawisła nad wielkimi, wolnymi obszarami, skrapianymi teraz potokiem złotego światła.

— Jakże teraz cudnie w zagajnikach być musi! — pomyślała z żalem.

Zielenią się łany pszeniczne jak okiem dosięgnie, od zoranych pól bije mocna, narkotyczna woń, dzwoni po nich pieśń wiosny potężnym akordem, dobiega lasa, który podejmuje ją wtórem poważnych szmerów i szelestów.

I zewsząd idzie ta woń uparta, zewsząd dźwięki radosne, zmartwychwstaje ziemia po długim, przymusowym śnie, w nadziei w nową stroi się szatę.

Jaśnieją plamą białą ściany starego dworu, otoczonego rzędem lip rosochatych, w parku, wśród trawników, pokrytych młodą zielenią, wiją się fantastycznym rzutem ścieżki, złotym przysypane piaskiem, uwolnione od słomianych chochołów, krzewy i wysokopienne róże pierwsze wypuszczają pędy... A między zabudowaniami ruch i wesołość.

Parskają zdrowo konie powracające z orki, jakby trudów pracy nie czuły, idą za nimi parobcy pogwizdując przeciągle, w oborach ryczą krowy niecierpliwie rwąc się na łańcuchach na świeżą paszę, ptactwo oszalałe słońcem i wolnością gwar czyni piekielny, przelatując z miejsca na miejsce.

I głosy ludzkie rozbrzmiewają w powietrzu jakieś czystsze i głębsze, jakby piersiom nagle tchu przybyło i oczy błyszczą nieświadomą radością zapalone.

— Proszę panienki — rozległ się ostry głos służącej od progu. — A co będzie z obiadem?

— Jakto? co? — ocknęła się z trudem Janka, przesuwając rękę po czole.

— A no, bo z tych pieniędzy, co mi panienka wczoraj dodała, ledwie funt mięsa kupiłam na rosół i kilo ziemniaków. Trzeba coś koniecznie dorobić, bo pan znowu się będzie złościł.

— To dorób Felciu.

— Chciałam choćby kluseczków, ale kiedy znów ani sloniny, ani masła nie ma! — żachnęła się Felka niecierpliwie. — Rany boskie, już mi ten łeb chce pęknąć, kiedy do tego gotowania przyjdzie.

— Możeby masarka...

— A juści! Dałaby, kiedy się furt bierze na kredyt!

Janka spuściła głowę, nie wiedząc co powiedzieć.

— A tam, naprzeciwko, próbowałaś w sklepiku — zaczęła nieśmiało. — Przecież nas tu znają na ulicy.

To pewne, że znają — burknęła Felka. — Coby znać nie mieli! Roznieśli wokoło, że wstyd człowiekowi spotkać się z koleżanką od innych państwa!

— Moja Felciu!...

— Ano, co mam robić. Pójdę, jak ta, to dobrze, a jak nie, to podam tylko mięso z ziemniakami i już. Co sobie mam krew psuć daremnie.

— Dziadostwo takie — syknęła jeszcze za drzwiami, zatrzaskując je mocno za sobą.

Janka po odejściu służącej nie była już w stanie powrócić do przerwanej pracy.

Nie wysyłając już spojrzeń poza szare mury brudnego podwórka, nie widząc blasku słońca, które silniejszym promieniem wbiegło do pokoju, zwiesiła bezwiednie głowę na piersi pod ciężarem myśli przykrych.

Nigdy może, tak, jak w tej chwili nie uczuła tak głęboko, beznadziejnego położenia własnej rodziny.

Cała przeszłość bezpowrotna, szczęśliwa stanęła przed jej oczami. Może to jeden, jedyny, radosny błysk słońca, zwiastun nadchodzącej wiosny, zabłąkany z za wysokich dachów kamienic, przyniósł ze sobą ten nastrój ostrzejszy?

A przecież ta przeszłość z żalem wspominana nie tak daleką była jeszcze.

Jakież szalone zmiany zaszły w tych paru latach ostatnich! Nagła licytacya rodzinnych Zagajnik, następnie nagły wyjazd do Krakowa, jakgdyby uciekali przed jakim wstydem czy niebezpieczeństwem i teraz to życie, to straszne życie, które ją coraz większem ogarniało przerażeniem.

Nigdy chyba nie będzie w stanie zapomnieć tej chwili, kiedy ogłuszona, nie rozumiejąc jeszcze całej grozy położenia, znalazła się z rodzicami i młodszą siostrą Isią w banalnych dwóch pokojach, jakiegoś hotelu w Krakowie!

Cudem jakimś udało się ojcu uratować bardzo niewielki kapitalik, który miał im dać zabezpieczenie pierwszych paru miesięcy.

Była to jesień smutna i dżdżysta. Potoki żółtej, mętnej wody wylewały się z blaszanych paszcz rynien, tworząc na chodnikach ulic duże, lśniące kałuże. Wiatr zimny szarpał ostatnimi zżółkłymi liśćmi nielicznych drzew, rozrzucając bezlitośnie po zczerniałych trawnikach plantacyi miejskich.

Jakiś ciężki smutek wlókł się z oparami zimnego powietrza, zabijając każdą myśl radosną czy uśmiech nadziei.

Skulona, zziębnięta siedząc godzinami całemi na wypłowiałej czerwonej kanapie hotelowej, zapadała w długie zamyślenie, starając się zrozumieć co się stało.

I zrozumiała dosyć prędko!

Z tych cudnych Zagajnik, gdzie przeżyła w zupełnej radosnej nieświadomości pierwsze lata młodości, pozostało tylko wspomnienie.

Lekkomyślność ojca, niewidzialnego prawie nigdy w obszernym białym dworze, uganiającego jak motyl oszalały słońcem po zagranicznych wesołych miejscach kąpielowych, spowodowała ostateczną katastrofę.

Przyczyniła się do tego niemało jakaś dziwna beztroska matki, oderwanej zupełnie od biegu codziennego życia i szukającej w demonstracyjnej dewocyi i źle zrozumianej filantropii pociechy na urojone jakieś smutki i tęsknoty.

I teraz jeszcze niepomni na przyszłość beznadziejną, grożącą całej rodzinie, niepamiętając o przeszłości, której wspomnienie powinno było nakierować ich życie na inne tory, szli przed siebie bezmyślnie jak para bezwinnych dzieci, nie zastanawiając się zupełnie, co jutro im przyniesie.

Wkrótce z pokojów hotelowych przeniesiono się do ciemnego, niemiłego mieszkania, dokąd już zostały przywiezione z Zagajnik ostatnie nędzne pamiątki, stare, zużyte meble, które jednak Jance były tak drogie, jak cząstki jej własnego istnienia.

I zaczęły się wlec dnie szare, jednostajne, bez promyka najmniejszej radości i nadziei, zaczęło się objawiać w całej swojej ogłupiającej formie, nędzne życie codzienne, tysiąca im podobnych, wykolejonych istot.

Nie było dźwigni, nie było siły wewnętrznej, któraby mogła wyrwać ich z bezdusznej martwoty, w którą grzęźli, otoczeni przez pył niszczący i żrący, zapadający nad każdym ich czynem i myślą.

I w domu, gdzie rwało się do życia dwoje młodych, gorących istnień, czas robił spustoszenie swoje, gasząc uśmiechy i porywy, ciężarem przyzwyczajenia przytłaczając dusze. Nie widzieli tego Boguccy, zapatrzeni w nędznie tlejącą iskierkę własnego życia.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Muzyka i sztuka: Pilarz Mokrzycka, artystka operowa.

Muzyka i sztuka.

Towarzystwo operowe krakowskie rozpoczęło przedstawienia w teatrze im. Słowackiego wznowieniem granych już w poprzednich sezonach oper. Opery wystawione dotąd stanęły na nader wysokim poziomie artystycznym, że nie powstydziłyby się tego nawet pierwszorzędne sceny operowe. Gwiazdą zespołu operowego jest pani Pilarz Mokrzycka, której podobiznę w niniejszym numerze podajemy.

Drugą siłą pozyskaną przez Tow. operowe na gościnne występy, jest p. Gruszczyński. Jest u tego artysty taka żywiołowa siła działania, że wobec tej potęgi wrażenia maleje, a nawet niknie strona techniczna. Gruszczyński jest wielkim artystą, który porywa słuchaczy swoim głosem.

Cały szereg artystów do których jeszcze wrócimy, tworzy harmonię i stanowi o bezwzględnem powodzeniu naszej opery.

Mody paryskie.

Po długiej i uciążliwej wojnie, Paryż poczyna znowu przeoblekać się w dawną szatę. Gorąca i szeroka radość wybucha obecnie na każdym kroku, a szczególnie teraz, po ratyfikacyi pokoju, kiedy ma się zupełną gwarancyę, że broni nie trzeba powtórnie podnosić, dawna swoboda powraca bujną falą.

Przedwojenny nastrój daje się przedewszystkiem odczuć w strojach pań. Dawna troska o dobry zewnętrzny wygląd wraca powrotnie, odnawiając w Paryżu uprzywilejowane stanowisko europejskiej mody. Obecnie i u nas pilnie bada się francuskie żurnale, porównywując o ile wojna oddzieliła nas od przybytku estetyki stroju.

Podajemy kilka zdjęć z ostatnich dni, z których szczególną uwagę zwraca kapelusz i modne suknie, oraz stroje kąpielowe w Biarritz.

Rewia wojskowa na Błoniach krakowskich.

We środę dnia 16. b. m. odbyła się rano wielka rewia wojskowa na Błoniach, oddziałów gen. Hallera, oraz wszystkich innych oddziałów załogi krakowskiej.

Na plac ćwiczeń przybył gen. Haller w otoczeniu sztabu, generałów i oficerów francuskich i włoskich, a odebrawszy raport, odbył przegląd stojących na Błoniach oddziałów piechoty, kawaleryi, artyleryi, saperów, lotników i t. d.

Przeglądowi przypatrywali się zaproszeni goście i wielkie rzesze publiczności, byli obecni ks. biskup Sapieha, prezydent J. K. Federowicz, prof. Morawski, prezes Akademii Umiejętności, ks. Sieniatycki, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, oraz szereg osobistości ze świata naukowego i artystycznego.

Po odbyciu przeglądu przez gen. Hallera i Symona, odbyła się imponująca defilada. W oczach każdego niemal widza błyszczały łzy radości i dumy na widok polskiego żołnierza.

W czasie rewii unosiły się nad głowami wojska i widzów samoloty, wykonując sprawnie przedziwne ewolucye.

Dwanaście samolotów krążyło nad Błoniami i Mogiłą Kościuszki, to wzbijając się w przestworza, to lecąc zaledwie kilkanaście metrów ponad oddziałami wojskowemi. Publiczność nagradzała te ewolucye oklaskami.

Uczucie, które przepełniało wszystkich widzów w obliczu tej rewii, da się streścić w słowach: Cześć żołnierzowi polskiemu!



Mody paryskie: Kapelusz, który osiągnął duży sukces.



Muzyka i sztuka: Gruszczyński w „Pajacach".



Mody paryskie: Stroje kąpielowe w Biarritz.



Mody paryskie: Najnowszy model sukni.

Kronika tygodniowa.

Korzystając z tak zwanych wakacyi, które podobno (przynajmniej dawniej tak bywało...) są przeznaczone na wypoczynek, należałoby się wybrać gdzieś na świeże powietrze, aby się bodaj na krótki czas oderwać od warsztatu swej codziennej pracy.

Niestety, jeśli kiedy, to właśnie obecnie, gdy wojna się już rzekomo skończyła i powracają normalne stosunki(?), staje się to niemożebnem do przeprowadzenia.

A powodów, które się na to złożyły, jest aż zadużo.

W pierwszym więc rzędzie inteligentowi, pracującemu umysłowo, należącemu wiąc tak *de nomine*, jak i *de facto* do „gołej demokracyi", staje na przeszkodzie brak gotówki, bez której ani myśli wybierać się w drogę. Trzeba zaś mieć jej sporo, zwłaszcza, jeśli się kto ma zamiar udać do krajowych uzdrowisk, które uważają za swój obywatelski obowiązek obdarcia bliźniego do ostatniej koszuli, zapewne w tej myśli, że każdy, kto sobie dziś może pozwolić na wyjazd na świeże powietrze, jest paskarzem, ma więc dość grosza i nie potrzebuje się z nim liczyć.

To też „korespondencye sezonowe" z Krynicy, Zakopanego i t. d. zawierają tylko doniesienia o niepogodzie, stale letników w tym roku prześladującej, a pozatem podają cały szereg, dłuższy niż litania „do wszystkich Swiętych", narzekań na bandytyzm i zdzierstwo, co jest jasnym dowodem, ze „pasek" i tam już zyskał pełne prawo obywatelstwa. Zraża to więc tych, którzy z groszem muszą się liczyć, a za swe pieniądze chcieliby mieć bodaj jakie takie wygody i zmusza ich do zrezygnowania z pięknego zamiaru opuszczenia bodaj na krótki czas murów miasta, celem poratowania zdrowia i wzmocnienia nerwów, starganych pięcioletnimi kłopotami wojennymi.

Dawniej mieliśmy kłopoty „austryackie", dziś mamy „polskie", ale tak jedne, jak i drugie mają jednakowe przyczyny i te same następstwa

Czytając ostatnią korespondencyę z Krynicy w *Kuryerku* z 18. lipca, o stosunkach, jakie tam panują, straciło się poprostu ochotę do wystawienia nosa poza rogatki Krakowa, gdzie jest wprawdzie drogo, tak jak zresztą wszędzie, ale przynajmniej ma się wszystko, o ile się wie, gdzie tego szukać, czego się potrzebuje. A tam, zanim się rozpatrzysz, tymczasem sezon się skończy i trzeba wracać na swoje śmieci.

Jeśli się zaś ma mrzeć głodem i stać ofiarą zorganizowanych paskarzy, wygodniej uczynić to pod swym własnym dachem.

Był wprawdzie w Krynicy delegat warszawskiego ministerstwa aprowizacyi i skonstatował na swoje własne oczy, że wszystkiego jest dosyć, nie mówiąc już o świeżem powietrzu, którego jest nawet zadużo, ale pokazuje się z tego, że ci delegaci ministeryalni, bez względu na to, czy oni są polscy, czy byli dawniej cesarsko-królewscy, mają zwykle wzrok bardzo osłabiony i widzą, ale nie to, co widzieć powinni. Zresztą, znając energię naszych władz i wiedząc o tem, jak one zręcznie i energicznie zabierają się do różnych paskarzy i spekulantów tutaj w Krakowie, gdzie czujniejszą jest kontrola opinii publicznej, niż na prowincyi, choćby nawet w Krynicy, możemy sobie wyobrazić, jakie tam orgie muszą wyprawiać „przemysłowcy", mający przez przeciąg sezonu zebrać pieniądze na prowadzenie wygodnego żywota przez rok cały.

Powie kto może, że w takim razie lepiej sobie wybrać jakieś ustronie, gdzie, jak to mówią, świat jest deskami zabity i tam łykać pełną piersią świeże powietrze, ale i to nie wyjdzie nikomu na zdrowie, gdyż nasz poczciwy kmiotek, nawet w najodleglejszym kącie nauczył się już drzeć ze skóry bliźniego, zwłaszcza zaś surdutowca, a to szczególnie teraz, gdy weń wmówiono, że Polska jest chłopską. Zresztą po uchwaleniu reformy agrarnej każdy z nich uważa się już za obszarnika i z góry patrzy na miejskiego „ciaracha", wychodząc nadto z tak popularnej dziś zasady, że należy z bliźniego drzeć łyko, póki się da, jeżeli zatem chce mieszczuch łykać chłopskie świeże powietrze, niech za nie słono płaci.

Jedną przecież dobrą stronę ma taki pobyt w owej „zakazanej dziurze, gdzie świat jest deskami zabity". Gazety przy dzisiejszej sprawności poczty ma się najwyżej raz na tydzień i to nie zawsze, nie potrzebuje się też zwykły śmiertelnik codziennie irytować biegiem wypadków politycznych, lecz najwyżej trzy lub cztery razy w tygodniu „gdy poczta przyszła" i to mu wychodzi na zdrowie, stanowiąc rekompensatę różnych mankamentów aprowizacyjnych.

Jeśli zaś ktoś ma dużo wolnego czasu i chce koniecznie używać świeżego powietrza, ma je i w Krakowie, właściwie mówiąc, w najbliższem jego sąsiedztwie, bo na Panieńskich Skałach, będących własnością ogółu, dokąd więc nikt nie może zabronić dostępu, o ile naturalnie nie zaprowadzi się w międzyczasie jakich kart na łykanie świetego powietrza, co bynajmniej nie jest wykluczonem, gdyż obecnie żyjemy w wieku ciągłych niespodzianek.

Ale w tym wypadku powinien założyć swe *veto* pan minister zdrowia, jeśli chce, aby przyszłe pokolenie, jak mówi o tem wyraźnie projekt konstytucyi, przychodziło na świat nie obciążone wadami dziedzicznemi (z wyjątkiem *nota bene* braku pieniędzy, który ze świeżem powietrzem ma tylko taki związek, że kto nie ma pieniędzy, na świeże powietrze jechać nie może, a przynajmniej nie powinien!...)

Pozatem na Panieńskich Skałach śpiewają ptaszki zupełnie tak samo jak w Krynicy, o ile deszcz nie pada świeci słońce, snują się zakochane pary, można nawet zbierać poziomki i borówki, o ile je kto ze sobą z miasta przyniesie i po ziemi rozrzuci... Mając więc prawie na miejscu te rozmaitego rodzaju sielskie przyjemności, pocóż jechać aż do jakiejś Krynicy?... Prawda, że na Panieńskich Skałach brak kąpieli, kto jej jednak chce użyć, ma podrodze Rudawę (w której się nie utopi!...) lub Wisłę, nad brzegiem zaś tej królewny wód polskich ma magistrat dla wygody mieszkańców miasta założyć tak popularne gdzieindziej i potrzebne kąpiele „familijne". Ma się to stać już w najbliższym czasie, przy znanym więc naszym autonomicznym pospiechu, kto wie, czy nie w grudniu już, lub najdalej w styczniu.

Drugim powodem, który odstrasza zwykłego śmiertelnika od puszczania się w podróż, choćby nawet nie bardzo daleką, to przyjemności, z jakiemi ona obecnie się łączy. Że się podróżny gnieść musi w wagonie, niczem śledź w beczce, o tem każdy wie, że sam jedzie na prawo, a jego rzeczy na lewo, skąd wracają zazwyczaj tylko próżne kufry, gdyż zawartość ich ktoś „zarekwirował", o tem i wróble śpiewają, ale ponadto bierze człowieka cholera, jeśli się tak wolno trywialnie wyrazić, gdy musi jechać klasą trzecią, choć za drugą zapłacił.

Zarząd kolejowy urządził się bardzo dowcipnie. Na wozach trzeciej klasy napisano kredą „druga" i za to każe się płacić.

Gdyby w ten sposób urządził się jakiś dowcipny przedsiębiorca i dajmy na to, na pakiecie ze suszonym śniegiem napisał „sól", lub tłuczoną cegłę zamiast papryki sprzedawał (bo i to się zdarza!), już dawno siedziałby w kryminale za oszustwo, a przynajmniej miałby do tego niezaprzeczone prawo, widocznie jednak rządowi wolno to robić, co innym śmiertelnikom jest zakazane.

Mimowoli przychodzą mi w tem miejscu na myśl wyroby tytoniowe, ich obecna cena i jakość w porównaniu z dawnemi i, niestety, choć jestem, byłem i zapewne będę i nadal bardzo lojalnym obywatelem, muszę przecież, acz z bólem serca przyznać, że nasz rząd to też paskarz, zwykłym paskarzom piękny przykład dający.

I dziwić się tu potem, że oni go naśladują, zwłaszcza, że obecnie żyjemy w czasach, w których w najściślejszem tego słowa znaczeniu stosuje się zasadę „małych złodziei wieszać, wielkich puszczać wolno, niech pracują nad uprzemysłowieniem swego biednego kraju".

Wreszcie i niepewna sytuacyn polityczna wpływa na to, że się siedzi w domu i nigdzie nie wyjeżdża.

Pomijam już okoliczność, że, o ile się jest zawodowym politykiem, tak, jak kronikarz, musi się być blisko „wielkiego ołtarza", by mięć wiadomości z pierwszej ręki. Zresztą politykiem jest dziś każdy, bez względu na to, czy umie czytać i pisać, czy też ma tylko... domowe wykształcenie, dozwalające mu przecież na ubieganie się nawet i o posadę ministra, choćby, dajmy na to, oświaty! Nie wiedząc codziennie, co słychać w szerokim świecie, co mówił Wilson, Lloyd George, Clemenceau lub pani Paderewska, zginą by z zdenerwowania, wywołanego ciekawością, zwykły nawet śmiertelnik.

Mieliśmy w ubiegłym tygodniu gościć delegatów czeskich w Krakowie i bylibyśmy się stanowczo o rezultacie obrad dowiedzieli wcześniej, niż, dajmy na to, ci, którzy bawią teraz w Krynicy, że się tak zaś nie stało, to nie nasza w tem wina, lecz Czechów, gdyż nie przyjechali, prawdopodobnie z tego powodu, iż spodziewają się, że sprawę Śląska pomyślniej dla nich załatwi Liga narodów, niż wspólne porozumienie z Polakami. Zresztą, przypuszczając nawet najgorszą ewentualność, to jest możliwość przyznania Polakom Śląska cieszyńskiego, daleko korzystniejszem dla nich będzie, jeśli się to odda Lidze, której jeszcze niema..., gdy natomiast po pertraktacyach bezpośrednich musieliby się stamtąd bezzwłocznie wynieść, a tak im tam dobrze!...

Proszę mi pokazać zwykłego śmiertelnika, umiejącego się bodaj jako tako oryentować w sytuacyi obecnej, aby nie był ciekawym, co się ostatecznie stanie z Gdańskiem, jak wypadnie plebiscyt, czego jeszcze zażądają Ukraińcy i syoniści, kto w najbliższym czasie zastrajkuje? A o tem wszystkiem dowiedzieć się można w Krakowie bodaj o jeden dzień wcześniej, niż naprzykład w Krynicy, choć połączoną jest z Krakowem i Warszawą tak zwanym „paskarskim pociągiem" (dawniej „kominiarski", dziś kominiarzami są głównie paskarze!).

Jest więc wskazanem siedzieć w Krakowie i nie ruszać się stąd i to nie tylko z powodów politycznych, jak wyżej, ale i meteorologicznych.

Tegoroczne lato jest najzupełniej „pod psem", jak gdyby referentem niebieskim od pogody był jakiś osobnik „o domowem wykształceniu", nie mający o niej nawet „zielonego" pojęcia! Deszcz leje kiedy go potrzeba i kiedy go zupełnie nie potrzeba, błoto zaś w Krakowie, choć mamy tu Zakład tak zwanego czyszczenia miasta, jest stanowczo znośniejsze, niż, dajmy na to, w Pipidówce, już choćby tylko z tego powodu, że nie jest takie tłuste.

Kronikarz, o ile to jego osoby dotyczy, nie wyjechał nadto z powodu ciekawości, kiedy będą nareszcie puszczone w obieg magistrackie bony, mające służyć nie tyle wygodzie publiczności, ile stać się kiedyś ozdobą zbiorów numizmatycznych, oraz jak będzie wyglądał skład przybocznej rady aprowizacyjnej pana prezydenta, to znaczy, ilu w niej zasiędzie paskarzy.

Bo tylko w ten sposób dojść można do celu. Jedynie oni mogą wskazać, czego ludność najbardziej potrzebuje i gdzie tego szukać, zwłaszcza, jeżeli... niech kosztuje, co chce, ale to musi być!...

Wreszcie ostatni i najważniejszy powód. Moja czcigodna Weronika powiedziała mi wyraźnie:

— Siedź w domu, kiedy ci dobrze i nie szwendaj się po świecie! Raczej ja powinnam wyjechać, gdyż jestem słaba i wątła..

Jako posłuszny mąż musiałem jej przyznać słuszność, choć może się poszczycić stupiętnastu kilogramami żywej wagi (ubytek w wojennym czasie prawie trzy kilo) i zostałem w domu, ale została i ona, gdyż się pokazało, że podobnie jak pan Karpiński w budżecie państwowym, my, w naszym domowym możemy wykazać tylko deficyt, wprawdzie nie dwumiliardowy, ale w każdym razie, jak na dziennikarza, dość pokaźny.

A wiadomo, że pieniądze, to dziś *nervus rerum* i że bez takiego *vade mecum* ani myśli wybrać się choćby... na Panieńskie Skały!

I, kto wie, czy, gdyby nie niedziela nie byłbym się tam kopnął, choćby nawet z próżną kieszenią, to jest skazany na Woli Justowskiej tylko na łykanie samego świeżego powietrza, gdy tymczasem inni, szczęśliwsi, łykają piwo, kwaśne mleko i t. d., dowiedziałem się jednak, że bracia Czesi zdecydowali się nareszcie na odwiedzenie Krakowa i przeznaczyli na ten cel właśnie niedzielę ubiegłą.

Wypadało zatem zostać w Krakowie, aby ich godnie przyjąć, choć nie jestem członkiem komisyi dla spraw Śląska, a polityką zajmuję się przywatnie, a nie urzędowo.

Pokazało się, że Czechom rozchodzi się nie tyle o porozumienie z Polską w sprawie Śląska Cieszyńskiego, który prędzej czy później i tak im przypadnie w udziale, gdyż koalicya ich bardziej kocha, niż nas, ale o nawiązanie z nami stosunków handlowych, abyśmy nie byli pozbawieni piwa pilzneńskiego i kwargli ołomunieckich

Brak tych dwu artykułów daje się u nas odczuwać już od dłuższego czasu, wobec czego dyplomaci obu stron rozpoczęli rokowania, których wynik na razie nie jest jeszcze znany. W każdym razie czujemy już przedsmak owego pilzneńskiego nektaru i zapach miły kwargli, co każe wnosić, że porozumienie nie jest wykluczone, a aprowizacya Krakowa w te artykuły jest na najlepszej drodze.

Wobec tego i kurs korony podniósł się o całego halerza, a posłowie Sejmowi we Warszawie wyrazili *votum* nieufności tylko ministrowi robót publicznych i kolei żelaznych, a nie skarbu, czem go zachęcili do robienia dalej deficytu na pożytek kraju. Wiadomo bowiem, że deficyt jest dowodem majątku i dobrobytu, gdyż gołemu nikt nie pożycza.

Z tego powodu i kronikarz uważa się za „dobrze sytuowanego" i z miłą chęcią regulowałby dalej swe finanse przez zaciąganie długów. Niestety, trudno znaleźć takiego, który miałby ochotę pożyczyć. Transakcye w tym kierunku są utrudnione, na „czarnej giełdzie", na Rynku, widoczne jest usposobienie mdłe i ospałe, giełda zaś kazimierska u wylotu ulicy Bożego Ciała jest wyłącznie giełdą towarową, gdzie się operuje tysiącami.

Rita Sacchetto.

W poniedziałek 28. b. m. wystąpi w teatrze powszechnym w Krakowie rozgłośna tancerka Rita



Rita Sacchetto, światowa tancerka.

Sacchetto z jednym wieczorem „Poematów tanecznych“ pozyskana przez „Krakowskie Biuro koncertowe E. Bujański“.

Sławna z urody i z niezwykłej rytmości swych produkcyi, jest Rita Racchetto jedną z najwybitniejszych współczesnych reprezentantek tańca wolnego, to jest niezależnego od prawideł klasycznej choreografii. Zapowiedziany wieczór wywoła u nas, jak było do przewidzenia, niezwykłe zainteresowanie.

Ze sportu.

Zainteresowanie sportowe budzi się u nas coraz goręcej. Nie mówimy już o mathach footballowych, które mamy w każdą niemal niedzielę, ale o regatach i wyścigach kolarskich. Przed kilku dniami odbyły się u nas wyścigi kolarskie, na których zwycięzcami zostali: pp. Nikiel w 2·17, Gruszyński w 2·21 i Hytkiewicz 2·24. Wcześniej odbyły się zawody między drużyną footballową Cracovia i Koroną. Cracovia spotkała się ze silnym przeciwnikiem. Szeroko rozwijający się u nas sport świadczy o naszej żywotności, jeżeli weźmiemy za punkt wyjścia fakt, że w zdrowem ciele zdrowy duch.



Ze sportu: Drużyna kolarska po wyścigach. 1) Nikiel, 2 Gruszczyński, 3) Hytkiewicz

Leon Daudet.

Serce i nieobecność.

(Z francuskiego tłom. Marya Jadwiga Migowa).

20

Siwy dziaduś, wsparty na lasce, ukazał się we drzwiach.

— Kogo pan szuka, panie kapitanie?

— Doktora Etiennant. Sądziłem, że on tutaj mieszka.

Ksawery ukłonił się i wyszedł, nie wiedząc, co o tem wszystkiem myśleć. Skonstatował, że numer domu jest rzeczywiście czwarty. Żaden inny dom na tej ulicy nie zdawał się podejrzanym. Były to domy, w których mieszkali przyzwoici, skromni ludzie.

A zatem... a zatem... Kartka Ginetty zawierała ohydne kłamstwo. A, podła baba!... Jej się należy kula w łeb!...

Ksawery usiadł na ławce, chcąc zebrać myśli, oswoić się z bezmiernem szczęściem, że wolno mu nadal kochać Marion.

Drzwi sklepiku otwarły się i ukazała się w nich kobieta nieokreślonego wieku, cała w czerni.

— Pan szuka kogoś, panie kapitanie?

Darmelle podniósł głowę.

— Nie, dziękuję, już nikogo.

— Mój mąż zginął na wojnie. Zawsze, gdy widzę żołnierza... gdybym mogła panu w czem usłużyć... Widziałam, że pan wchodził do tego domu. Tam już są inni lokatorzy.

— Wiem o tem, dziękuję.

— Dawniej wynajmował to mieszkanie doktor Etiennant, który przychodził tutaj zawsze z jedną panią, bardzo ładną blondynką.

— A! niegodziwa!

Ksawery wyprężył się, jak człowiek śmiertelnie raniony. Więc jednak... Zebrał wszystkie siły i cichym, zdławionym głosem zapytał kobietę w czerni:

— Czy ci państwo przychodzili tutaj codzień?

— Nie, tylko dwa lub trzy razy w tygodniu. Wiem to od służącej, która sprzątała mieszkanie, ścieliła łóżko...

— I odkądże to?.. odkąd... odkąd..

Słowa zamierały mu w gardle. Sięgnął do kieszeni, gdzie obok rewolweru miał portmonetkę z pieniędzmi, wyjął banknot dwudziestofrankowy, podał go sklepikarce i oddalił się wielkimi krokami, chwiejnie jednak, jakby był pijany.

Więc Ginetta pisała prawdę. Darmelle chciał naprzód się z nią zobaczyć i to natychmiast. Jeżeli Klaudyusz będzie w domu, to tem lepiej, odrazu rozprawi się z nim!

Ginetta była sama w domu z córką, kiedy jej oznajmiono, że przyszedł kapitan Darmelle. Nie zdziwiła się nawet. Od czasu wysłania owej denuncyatorskiej kartki spodziewała się, oczekiwała tego powrotu i tych odwiedzin.

— Odejdź! — rzekła szorstko do Janki, poczem zwróciła się do pokojówki ze słowami:

— Proś tego pana do salonu!

Ksawery wszedł trzymając list w ręku. Janka tknięta niedobrem przeczuciem, nie oddaliła się, ale cichutko przylgnęła uchem do drzwi. Niejasne przypuszczenie mówiło jej, że tu chodzi o życie jej ojca ukochanego. Gotowa więc była do wszelkich ofiar, aby to najdroższe życie ocalić.

Rozmowa, dobiegająca z salonu do jej dziewczęcych uszu, była pospieszna, krótka i ohydna w swej przerażającej szczerości.

— To pani pisała do mnie?

— Tak, to ja.

— Wracam z ulicy des Ombres. Ich tam niema.

— Zmienili miejsce schadzek od kilku tygodni.

— Gdzie się ukrywają teraz?

— Nie wiem.

— To nieprawdopodobne!... Pani musiałaś ich śledzić...

— Śledziłam Klaudyusza, ale umiał zatrzeć ślady za sobą. Wiem tylko tyle, że stosunek trwa dalej. Co pan zamierza uczynić?

— Zabić ich!

— Słusznie. Popełnili zbrodnię. Zasługują na karę śmierci.

— Ale muszę ich schwytać na gorącym uczynku! Kto mógłby mi udzielić informacyi o ich nowem...

— Być może, iż Grantouvre. Ten wie o wszystkiem. On jest ich powiernikiem.

Janka słyszała już dosyć. Nie czekając dłużej, porzuciła swój posterunek pod drzwiami. Postanowiła działać bezzwłocznie, uprzedzić za wszelką cenę naprzód Grantouvra, potem ojca, o którym wiedziała, że jest w szpitalu.

Tymczasem w salonie rozmowa pełna litościwych pchnięć ciągnęła s ę dalej. Ksawery stał przed Ginettą również wyprostowaną, brzydką straszliwie w swej nienawiści, żółtą jak cytryna.

— W jaki sposób dowiedziała się pani?

— Zdradziły ich: rękawiczka i parasol. Od dłuższego czasu miałam podejrzenie, pochwyciłam kilka wymownych spojrzeń. Pewnego dnia znalazłam rekawiczkę w paltocie mojego męża, potem szofer odwiózł mi parasol. Byłam tam. Widziałam. Chce pan obejrzeć rękawiczkę?

— Nie potrzeba.

— Ależ owszem. To dowód. Proszę, o to ona.

Ginetta odsunęła szufladę, wyjęła z niej małą rękawiczkę skórkową i podała ją kapitanowi.

— Poznaje pan perfumy Marion?

— Tak, poznaję. I ona mimo tego widywała się z panią?

— Dosyć długo. To kobieta bezwstydna. Zużytkowała dla swoich celów zmysłowych nawet zaręczyny naszych dzieci.

Ksawery teraz dopiero przypomniał sobie ten szczegół tak silnie obciążający. Głuchym głosem zapytał:

— Te zaręczyny odbyły się?

— Tak jest. Nie spowodowały jednak żadnych skrupułów, żadnych wyrzutów sumienia, nie przerwały niczego ani nawet na tydzień! Ja córce mojej nie powiedziałam ani słowa. Poczóż sama nieszczęśliwa miałabym jeszcze łamać szczęście dwojga niewinnych dzieci.

— To pięknie z pani strony.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.
Ułożył X. Y., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nazwę uroczystości kościelnej.

■
— ■ —
■
— ■ —
■
— ■ —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — — ■ — — —

Znaczenie wyrazów: 1) Spółgłoska. 2) Rzeka w Rosyi. 3) Spółgłoska. 4) Roślina pastewna. 5) Spółgłoska. 6) Rzeka w Afryce. 7) Imię żeńskie. 8) Rzeka w Rosyi. 9) Miasteczko w Galicyi.

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył X. Y., Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą jedno z następstw dziejowej wojny.

E — a
D — n
I — a
A — o
I — n
n — w
a — a
e — a
s — m
I — o
a — h
s — n
N — l.

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył J. Wieczyński, Kraków.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia.

1) - a - - o - le - - le - - l
2) - - - u - ą - a - a - y - - u - ą.

Bilety wizytowe.
Ułożył J. Wieczyński, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

ST. KINER.

AR BYK.

IW. ROZER.

ST. MECHAL.

U. CEPIK.

Kwadrat magiczny.
Ułożył J. Wieczyński, Kraków.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
a a d g
g g m n
o o r r.

Znaczenie wyrazów: 1) Część ciała. 2) Rasa psa. 3) Litera grecka. 4) Miasto na Węgrzech.

Zadanie na rozsypane litery.
Ułożył K. Wójcik, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: a, c, d, e ę, g, k, m, n, o, o, r, s, t, u, u, w, z.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) książkę p. t. „Męczeństwo Belgii“ 2) paczkę papieru listowego (25 arkuszy i 25 kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 25

Kwadrat magiczny. Zygmunt, Raadomsk, Boguinin, szałwia, starość, Barnaba, Lubiana.

Okienko. Sokół, kibic, Łącko.

Łamigłówka. Paskarz.

Grzebieniówka. Piza, e, tora, l, Ural, r, Adam.

Szarada. Kałamarze.

Zadanie na rozsypane litery. Sen mara, Bóg wiara.

Zadanie do przestawienia. Starość nie radość.

Łamigłówka literacka.
„A święte te ręce ojcowskie, co biją,
Znaj rękę ojcowską i kochaj Maryją!“
(W. Pol: „Pamiętniki Banedykta Winnickiego“).

Zadanie do uzupełnienia. 1) Drżej skórę póki się da! 2) Licz podwójną kredką!

Łamigłówka polityczna. Wilson.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: A. Balicki Kraków, M. Lisowski Lwów, J. Osadziński Przemyśl, H. Opolski Kraków, J. Nowicki Sanok, M. Ogórek Lwów, Z. Rosenbaum Tarnów, J. Radomski Jasło, M. Engel Wiedeń, K. Giżycki Zakopane, R. Sokalski Kraków, M. Myszkowska Warszawa, S. Lipski Lublin, J. Zagrodzki Warszawa, H. Owczarz Lwów, J. Tokarkki Zamność, M. Michalski Lwów, Z. Biliński Zakopane, K. Opaliński Przemyśl, J. Jagusiński Kraków, R. Muszyński Jasło, J. Galiński Rzeszów, Z. Radonewski Stary Sącz, M. Kinalski Kraków, J. Bernatowicz Warszawa, H. Obst Lwów, Z. Różycki Kraków, J. Jagła Kraków, H. Dębski Zakopane, S. Zaremba Jasło, J. Antosz Kraków, M. Malinowska Piotrków, H. Bandrowski Częstochowa, S. Krzyżanowski Warszawa, M. Karczmarski Poddębie, J. Zak Lwów, H. Ogibiński Lwów, J. Topolnicki Sanok, J. Olszewski Kraków, M. Planecka Kraków, J. Roth Tarnów, M. Wiktor Kraków, J. Gross Kraków, W. Bogusz Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymali: 1) J. Antosz Kraków (książka) 2) M. Myszkowska Warszawa (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 75 hal. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Maciejskiego